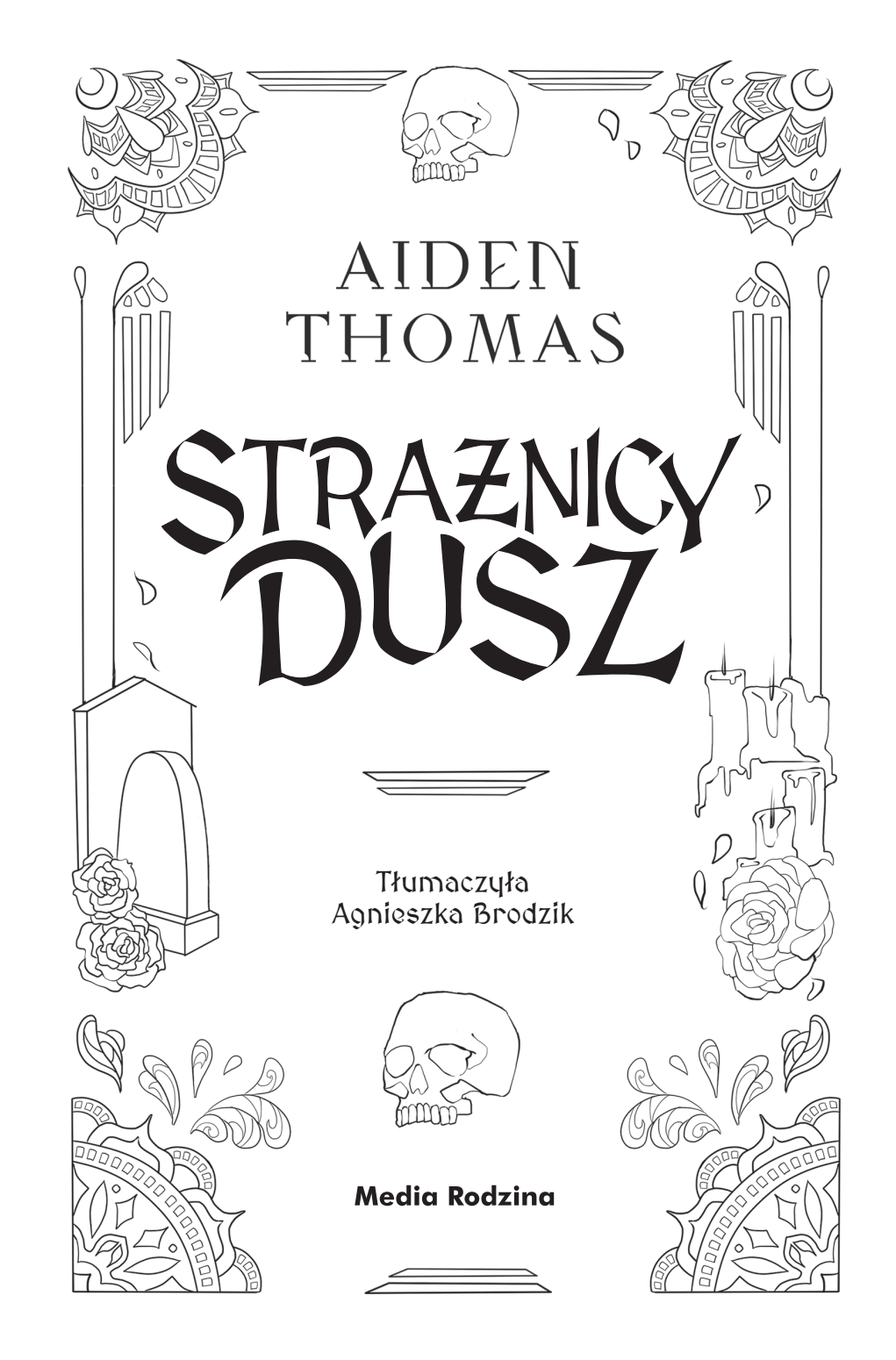


STRAŻNICY DUSZ



AIDEN
THOMAS

STRAŻNICY DUSZ

Tłumaczyła
Agnieszka Brodzik

Media Rodzina

Tytuł oryginału
CEMETERY BOYS

Copyright © 2020 by Aiden Thomas
Published by arrangement with Swoon Reads,
an imprint of Feiweil & Friends and Macmillan
Publishing Group, LLC.
All rights reserved.
Copyright © 2022 for the Polish translation
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich,
a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz
książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów
i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Jacket art © 2020 by Mars Lauderbaugh
Jacket design by Liz Dresner
Polska wersja okładki Radosław Stępnia

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-043-3

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i łamanie Radosław Stępnia

Druk Abedik

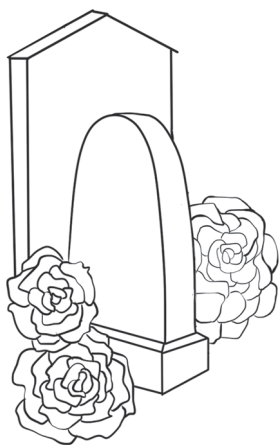


No me llores,
Porque si lloras
Yo peno,
En cambio si tu cantas
Yo siempre vivo,
Y nunca muero.

Nie opłakuj mnie,
jeśli za mną zapłaczesz,
poczuję twój ból,
a jeśli dla mnie zaśpiewasz,
będę żył wiecznie,
moja dusza nigdy nie umrze.



LA MARTINIANA
meksykańska piosenka ludowa



Rozdział 1

Yadriel teoretycznie nie popełniał przestępstwa, ponieważ mieszkał na cmentarzu całe życie. Jednak włamanie się do kościoła zdecydowanie przekracza granice moralności.

Mimo wszystko jeśli miał wreszcie udowodnić, że jest *brujo**, musiał przeprowadzić rytuał przed Panią Śmierci.

A Pani Śmierci czekała na niego w kościele.

Kiedy Yadriel wymykał się z niedużego domu rodzinnego, który stał na froncie cmentarza, o jego nogę objęła się czarna butelka termiczna wypełniona krwią kurcząt. Resztę składników potrzebnych do ceremonii schował do plecaka. Razem z kuzynką Maritzą przeszli skuleni pod frontowymi oknami, ostrożnie, żeby nie uderzyć głowami w parapety. Na zasłonach tańczyły cienie świętujących w domu *bruja*. Ich śmiech i odgłosy muzyki wydostawały się na teren cmentarza. Yadriel zatrzymał się, kucnął w cieniu, żeby sprawdzić, czy droga wolna, po czym zeskoczył z ganku i ruszył. Maritza szła tuż za nim. Odgłosy ich kroków rozbrzmiewały w jednym rytmie, gdy biegli po kamiennych ścieżkach i przez kałuże.

Serce Yadriela waliło w piersi, palce muskały wilgotne cegły kolumbariów, gdy wyglądali śladów *bruja* z nocnej zmiany. Patrowanie cmentarza, żeby się upewnić, że

* Tłumaczenie słów oraz zwrotów z języka hiszpańskiego znajdziesz na s. 406 (przyp. red.).

dusze zmarłych nie sprawiają żadnych problemów, to jeden z męskich obowiązków. Dusze rzadko się zezłościwiają, więc *brujo* głównie dbają o to, by ludzie z zewnątrz nie zakradali się za mury, by groby nie zarastały chwastami i generalnie cmentarz pozostawał w dobrym stanie.

Słyszając płynące z oddali dźwięki gitary, Yadriel schował się za grobowcem. Pociągnął za sobą Maritzę. Wyrzwał za róg i zobaczył Felipe Mendeza, który opierał się o pomnik, śpiewał i przygrywał sobie na *vihuela*. Felipe był najnowszym mieszkańcem cmentarza *brujx*. Dzień jego śmierci, sprzed zaledwie tygodnia, został wyryty na pomniku obok.

Brujx nie muszą widzieć duszy, by wiedzieć, że znajduje się w pobliżu. Kobiety i mężczyźni z ich społeczności potrafią to wyczuć niczym chłód w powietrzu albo coś w rodzaju śwedenia z tyłu głowy. Tę umiejętność mieli od urodzenia, a nadała im ją ich Pani. To jedna z mocy życia i śmierci: możliwość wyczuwania choroby i urazów u żywych, a także widzenia i komunikowania się ze zmarłymi.

Oczywiście ta umiejętność nie była szczególnie pożyteczna na cmentarzu pełnym dusz. Na cmentarzu *brujx* zamiast nagłego chłodu Yadriel czuł nieustanne lodowate łaskotanie na karku.

W ciemności ledwo był w stanie dostrzec przezroczystość postaci Felipe. Jego palce wydawały się rozmazane, gdy szarpał strunami swojej *vihueli* – to był jego postronek, fizyczny przedmiot, który był dla niego ważny i który nie pozwalał mu opuścić krainy żywych. Felipe nie był jeszcze gotowy na to, by przejść do zaświatów.

Większość czasu spędzał na cmentarzu, grając muzykę i ściągając na siebie uwagę *brujas*, zarówno tych żywych, jak i martwych. Jego dziewczyna Claribel zawsze je przeganiała, a potem we dwójkę godzinami przesiadywali między grobami, jakby śmierć wcale ich nie rozdzieliła.

Yadriel przewrócił oczami. Uważał, że to wszystko było przesadnie dramatyczne. Byłoby miło, gdyby Felipe już przeszedł na drugą stronę, wtedy Yadriel mógłby zacząć przesypiać całą noc, zamiast budzić się przez jego klótnie z dziewczyną albo co gorsza, przez okropne wykonania *Wonderwall*.

Jednak *brujx* nie zmuszali dusz do przejścia. Dopóki były spokojne i nie zezłościwiały się, *brujos* nie interweniowali. Tak czy inaczej żadna dusza nie może pozostać w krainie żywych na zawsze. Z czasem każda zacznie przejawiać agresję, zmieni się w wypaczoną wersję samej siebie. Uwięzienie na granicy między krainą żywych a krainą umarłych niszczy duszę, stopniowo odbiera jej człowieczeństwo. To, co wcześniej czyniło dusze ludźmi, z czasem zanikało, aż w końcu *brujos* nie mieli innego wyjścia, jak przerwać połączenie z postronkiem i odesłać duszę na drugą stronę.

Yadriel dał Maritzę znak, żeby poszła za nim w boczną alejkę, poza zasięg wzroku Felipe. Kiedy droga była wolna, pociągnął kuzynkę za rękaw i kiwnął głową. Pobiegł do przodu, wymijając posągi aniołów i świętych, ostrożnie, żeby nie zahaczyć plecakiem o ich wyciągnięte palce. Na cmentarzu stały grobowce, a także mauzolea dość duże, by pomieścić całą rodzinę. Yadriel chodził tędy setki razy i potrafiłby odnaleźć drogę nawet we śnie.

Musiał się znowu zatrzymać, kiedy trafili na dusze dwóch dziewczynek grających w berka. Goniły się, a ich ciemne loczki i identyczne sukienki powiewały na wietrze. Chichotały jak małe wariatki, przenikając przez przypominające domki dla ptaków nagrobki, w których znajdowały się skremowane szczątki. Grobowce były ręcznie malowane na żywe kolory i stały ciasno w szeregach złocistych żółci, słonecznych pomarańczy, błękitów prosto z nieba i zieleni z morskiej piany. Szklane drzwiczki odsłaniały umieszczone wewnątrz gliniane urny.

Ukrywali się z Maritzą. Yadiel kołysał się na piętach. Widok dusz dwóch zmarłych dziewczynek biegających po cmentarzu pewnie wystraszyłby większość ludzi, ale Niny i Rosy należało się obawiać z innych powodów. Obie były strasznymi gadułami, którym nie można było zaufać, że nie naskarżą na Yadiela jego ojcu. Jeśli tylko miały na kogoś haka, zaraz próbowały to wykorzystać i stosowały najgorsze tortury, jakie można sobie wyobrazić.

Na przykład godzinami żądały bawienia się w chowanego i zawsze przy tym wykorzystywały swoje niematerialne ciała, żeby oszukiwać. Albo w gorące kalifornijskie popołudnie celowo zostawiały delikwenta, żeby czekał w kryjówce za śmierdzącym pojemnikiem na śmieci, aż go odnajdą. Zdecydowanie nie warto było mieć wobec nich długu wdzięczności.

Kiedy dziewczynki wreszcie gdzieś odbiegły, Yadiel nie marnował ani minuty i popędził do ich ostatecznego celu.

Wyskoczyli zza rogu i znaleźli się tuż przed zadaszoną bramą do kościoła. Yadiel odchylił głowę do tyłu. Przed nim znajdowały się pobielone cegły tworzące łukowe przejście. Ktoś misternie wypisał czarną farbą słowa „*El Jardín Eterno*” – Ogród Wieczny. Farba przez lata wypłowiła, ale Yadiel wiedział, że jego kuzyn Miguel już otrzymał zadanie, by przed rozpoczynającymi się za kilka dni obchodami Día de Muertos odświeżyć napis. Ciężki zamek ryglowy powstrzymywał wszelkich intruzów.

Jako przywódca rodzin *bruja*x, ojciec Yadiela, Enrique, przechowywał klucze i udostępniał je jedynie tym *bruj*os, którzy mieli w danym momencie obowiązek pilnowania cmentarza nocą. Yadiel nie miał klucza, co oznaczało, że mógł wchodzić do środka wyłącznie w ciągu dnia albo gdy przeprowadzano jakieś rytuały lub celebracje.

– *iVámonos!* – Yadiel aż podskoczył, słysząc ostry szept Maritzы i czując jej długie paznokcie wpijające się w jego

bok. Krótkie, gęste włosy dziewczyny rozwiewał wiatr. Pastelowe loki w odcieniach różu i fioletu okalały twarz o kształcie serca, odznaczając się mocno od głębokiego brązu skóry. – Musimy wejść do środka, zanim ktoś nas zauważy!

Yadriel strącił jej dłoń.

– Cii! – syknął.

Mimo ostrzegawczych słów Maritza nie wydawała się zmartwiona perspektywą poważnych problemów. Właściwie to wyglądała na wręcz podekscytowaną. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte, na ustach błąkał się diabelski uśmiech, który Yadriel znał aż za dobrze.

Yadriel zakradł się na lewą stronę bramy. Między ostatnim prętem z kutego żelaza a ścianą znajdowała się szpara – cegły wykruszyły się w tym miejscu. Przerzucił plecak przez mur, po czym obrócił się i przecisnął. Mimo poliestrowo-spandexowego bindera ściskającego go w klatce piersiowej pręt boleśnie otarł go w tym miejscu. Gdy Yadriel znalazł się już po drugiej stronie, poświęcił chwilę na poprawienie krótkiego topu, by zapięcia nie wpijały mu się w bok. Dużo czasu zajęło mu znalezienie takiego, który czynił jego klatkę bardziej męską, ale jednocześnie umożliwiał swobodny oddech i nie drażał.

Zarzuciwszy sobie plecak na ramię, Yadriel odwrócił się i zobaczył, że Maritza miała nieco większy problem. Plecy przycisnęła do cegieł, nogi trzymała po obu stronach pręta i próbowała przedostać się na drugą stronę. Yadriel podniósł pięść do ust, powstrzymując śmiech.

Maritza posłała mu groźne spojrzenie, próbując wygramolić się ze szpary w murze.

– *¡Cállate!* – wycedziła, zanim wreszcie się przecisnęła.

– Niedługo będziemy potrzebowali nowego przejścia. – Próbowała zetrzeć brud z dzinsów. – Za duzi się robimy.

– To twój tyłek się robi za duży – droczył się z nią Yadriel.
– Może powinnaś trochę spasować z *pastelitos*. – Wyszczerezył zęby w uśmiechu.

– I stracić swoje ponętne kształty? – zapytała, przeciągając dłońmi po talii i biodrach. Posłała mu sarkastyczny uśmiech.
– Dzięki, ale wołałabym umrzeć. – Zdzieliła go w ramię, po czym ruszyła nieśpiesznym krokiem w stronę kościoła.

Yadriel podbiegł, żeby ją dogonić.

Przy kamiennej ścieżce rosły rzędy aksamitek – *flores de muerto*. Wysokie pomarańczowe i złote kwiaty opierały się jeden o drugi jak pijani kumple. Rozkwiwały w ciągu kilku miesięcy przed Día de Muertos. Zwiędnięte płatki ścieleły ziemię niczym konfetti.

Kościół był pomalowany na białą i miał terakotowy dach. Okna z rozchodzącymi się promieniście ramkami oskrzydlały duże dębowe drzwi. Wyżej, w półkolistej ścianie znajdowała się mała wnęka, a w niej kolejny krzyż. Po obu jego stronach w przerwach w murze wisiały żelazne dzwony.

– Jesteś gotowy? – Maritza przyglądała mu się, a na jej twarzy nie było widać śladu niepokoju. Uśmiechała się szeroko i z niecierpliwości aż podrygiwała na palcach stóp.

Yadriel czuł szalone tętnienie w żyłach, nerwowo ucisk w żołądku.

Razem z Maritzą jeszcze w dzieciństwie szwendali się nocami po cmentarzu. Plac przy kościele był dobrą kryjówką do zabawy, gdy byli mali. Znajdował się blisko domu, więc słyszeli Litę, gdy wołała ich na obiad. Ale jeszcze nigdy nie zakradli się do samego kościoła. Jeśli to zrobi, złamie wiele zasad i tradycji *bruja*.

Jeśli to zrobi, nie będzie już mógł się wycofać.

Yadriel sztywno skinął głową, ściskając dłonie w pięści wzdłuż boków.

– Zróbmy to.

Włosy na karku stanęły mu dęba i w tej samej chwili Maritza zadrżała.

– Co macie zrobić?

Oboje aż podskoczyli, słysząc ostro rzucone pytanie. Maritza uciekła do tyłu, Yadriel musiał ją złapać, żeby go nie przewróciła.

Po ich lewej stronie, przy pomniku pomalowanym na kolor brzoskwiniowy, stał mężczyzna.

– Cholera jasna, Tito. – Yadriel wypuścił wstrzymywane powietrze, zaciskając dłoń na przodzie bluzy. – Prawie dostaliśmy zawału!

Maritza pociągnęła z oburzeniem nosem.

Czasami nawet Yadriel i Maritza mogli nie zwrócić uwagi na jakąś duszę.

Tito był niskim i przysadzistym mężczyzną ubranym w burgundowy wenezuelski strój do piłki nożnej ze spodenkami. Na głowie nosił duży, zniszczony już słomiany kapełusz. Popatrzył spod ronda na Yadriela i Maritzę, garbiąc się nad aksamitkami. Tito przez wiele lat pracował jako cmentarny ogrodnik.

No właśnie, pracował. Tito nie żył od czterech lat.

Za życia był bardzo utalentowanym ogrodnikiem. Dostarczał wszystkie kwiaty potrzebne na uroczystości *brujx*, a także na śluby, święta i pogrzeby niemagicznych ludzi w East Los Angeles. Zaczynał od sprzedawania kwiatów z wiaderek na miejscowym targowisku, a skończył z własnym, murowanym sklepem.

Po tym, jak zmarł we śnie i jego ciało zostało złożone na wieczny odpoczynek, zdeterminowany Tito pojawił się ponownie na cmentarzu, by zająć się kwiatami, które tak pieczołowicie pielęgnował przez większość życia. Powiedział ojcu Yadriela, że nadal miał zadanie do wykonania i nikomu nie ufał wystarczająco, by mu je powierzyć.

Enrique odparł, że może zostać, dopóki nadal będzie sobą. Yadiel zastanawiał się, czy gdyby jego ojciec spróbował uwolnić duszę Tito, ogrodnik uniemożliwiłby mu to swoim uporem.

– Co macie zrobić? – powtórzył Tito. W pomarańczowym blasku bijącym z kościoła wydawał się kimś z krwi i kości, chociaż był nieco bardziej przezroczysty niż zupełnie prawdziwe nożyce ogrodowe w jego ręce. Dusze miały rozmazane krawędzie i nieco bardziej przytłumione kolory w porównaniu ze światem dokoła. Przypominały nieostrą fotografię z obniżonym nasyceniem kolorów. Gdy Yadiel obrócił nieco głowę, postać Tito rozmazywała się i zanikała w tle.

Yadiel wymierzył sobie mentalnego kopa. Nerwy sprawiły, że nie zauważył Tito odpowiednio wcześniej.

– Dlaczego nie jesteście w domu z całą resztą? – dopytywał Tito.

– Eee, chcieliśmy tylko wejść do kościoła – odparł Yadiel, ale głos go zdradził w połowie zdania. Chłopak odchrząknął.

Uniesienie krzaczastej brwi Tito oznaczało, że ogrodnik nie dał się nabrać.

– Żeby sprawdzić zapasy, no wiesz. – Yadiel wzruszył ramionami. – Upewnić się, że wszystko jest... gotowe.

Z głośnym ciapnięciem nożyce Tito dekapitowały jedną z aksamitek. Maritza trąciła Yadiela w bok i przechyliła znacząco głowę.

– Właśnie! – Yadiel rzucił plecak i zaczął gmerać w środku, po czym wyciągnął zwiniętą białą szmatkę. – Przyniosłem ci coś!

Felipe był zbyt zajęty swoją dziewczyną, żeby zwracać uwagę na to, co knuli Yadiel i Maritza, wymknięcie się Ninie i Rosie też nie nastreżało problemów, ale Tito to taka trochę dzika karta. Przyjaźnił się z ojcem Yadiela i miał bardzo mało cierpliwości.

Za to podarunki w postaci jedzenia potrafiły sprawić, że odwracał wzrok.

– Świeżo przygotowana przez Litę, jeszcze ciepła! – Yadriel odwinął warstwy materiału i ich oczom ukazała się *concha*, przypominająca muszlę pyszna słodka bułka z kruszącą skórką. – Przyniosłem ci zieloną, twoją ulubioną! – Jeśli Tito nie dał się przekonać beznadziejnym kłamstwom, może sprawę załatwi *pan dulce*.

Tito machnął ręką.

– Nie obchodzi mnie, co tam knujecie, *buscapleitos* – mruknął.

Maritza wciągnęła gwałtownie powietrze i przycisnęła dramatycznie dłoń do piersi.

– My? W życiu...!

Yadriel trącił Maritzę, by ugryzła się w język. Nie uważał ich za łobuzów, zwłaszcza w porównaniu z niektórymi innymi młodymi *bruja*, ale wiedział też, że udawanie świętoszków nie podziela na Tito.

Całe szczęście najwyraźniej chciał się ich pozbyć.

– *Pa' fuera* – powiedział z lekceważeniem. – Tylko nie dotykajcie moich *compasúchitl*.

Yadrielowi nie trzeba było tego powtarzać. Chwycił kuzynkę za rękę i ruszył w stronę kościoła.

– *Concha* zostaje – dodał Tito.

Yadriel położył ją na brzoskwińowym pomniku, a Tito wrócił do przycinania swoich aksamitek.

Wbiegli po schodach do wejścia, jedno za drugim. Mocne pchnięcie i ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Yadriel i Maritza zakradli się do środka. Wnętrze było prosto urządzone. W przeciwieństwie do typowych kościołów, ten nie miał zbyt wielu rzędów ławek, nie było też żadnych krzeseł z tyłu. Kiedy *bruja* zbierali się na ceremonie i rytuały, wszyscy stali w dużych kręgach na otwartej

przestrzeni. Apsydę świątyni tworzyły trzy wysokie okna. W ciągu dnia przez ich kolorowe, misterne witraże wpadało kalifornijskie słońce. Przy głównym ołtarzu stały dziesiątki niezapalonych świeczek.

Na półce w połowie wysokości ściany znajdował się posąg ich świętej bogini, *diosa*, której *brujx* zawdzięczali moce, wręczone im tysiące lat temu, kiedy bogowie i potwory przemierzali ziemie Ameryki Łacińskiej i Karaibów: Pani Śmierci.

Szkielet został wyrzeźbiony w białym kamieniu. Czarna farba podkreślała linie jej kościstych palców, uśmiech składający się z samych zębów, puste oczodoły. Pani Śmierci nosiła tradycyjną białą *huipil* z wykończeniem z koronki i warstwową spódnicę. Na czubku głowy miała opończę, spływającą na ramiona. Kołnierzyk sukienki i brzeg opończy zdobiły drobne kwiaty wyhaftowane złotą nitką. W kościanych dłoniach spoczywał bukiet świeżo ściętych aksamitek Tito.

Miała wiele imion i iteracji – Santa Muerte, la Huesuda, Pani Cienia, Mictecacihuatl. Wszystko zależało od kultury i języka, ale wszystkie interpretacje i obrazy miały wspólny mianownik. A być pobłogosławionym przez Panią Śmierci, mieć swoje własne *portaje* i służyć jej to największe marzenie Yadiela. Chciał być taki, jak pozostali *brujos*, odnajdywać zagubione dusze i pomagać im przechodzić na drugą stronę. Chciał nie spać całą noc w czasie nudnych cmentarnych obowiązków. A niech to, mógł nawet spędzać długie godziny na wyrywaniu chwastów i malowaniu pomników, jeśli to oznaczało uznanie go za *brujo* przez jego społeczność.

Kiedy Yadiel do niej podszedł, popychany przez swoje pragnienie, by jej służyć, myślał o wszystkich tych pokoleniach *brujx*, którzy przeszli tutaj własne ceremonie *quince*s. Mężczyźni i kobiety, którzy emigrowali z różnych miejsc – Meksyku i Kuby, Portoryko i Kolumbii, Hondurasu i Haiti,

a nawet starożytni Aztekowie i Majowie – wszyscy otrzymali swoje moce od pradawnych bogów. Była to mieszanina pięknie skomplikowanych, żywych kultur, bez których społeczność nie byłaby kompletna.

Kiedy *bruja* kończyli piętnaście lat, przyprowadzano ich przed Panią Śmierci, by dała im swoje błogosławieństwo i związała ich moc z wybranym przez nich przewodnikiem magicznej mocy, ich *portaje*. W przypadku kobiet *portajes* często przybierały kształt różańca (symboliczny przedmiot, który swoje początki ma w ceremonialnym naszyjniku i uległ przeobrażeniu wraz z przybyciem do Ameryki Łacińskiej wiary katolickiej). Taka biżuteria nie przyciągała niepotrzebnej uwagi, a wieńczył ją amulet, w którym mogła znajdować się niewielka ilość krwi zwierzęcia ofiarnego. Najczęściej na symbol wybierano krucyfiks, jednak czasami na końcu różańca znajdowało się święte serce albo posążek Pani Śmierci.

Mężczyźni na swoje *portaje* często wybierali różnego rodzaju sztylety, ponieważ ostrze było potrzebne do przecięcia złocistej nici łączącej duszę z jego ziemskim postronkiem. W ten sposób *bruja*s mogli uwolnić duszę, by przeszła do krainy zmarłych.

Otrzymanie własnego *portaje* stanowiło ważny rytuał przejścia dla każdego *bruja*s.

Każdego oprócz Yadriela.

Jego *quince*s zostało przełożone na czas nieokreślony. W zeszłym lipcu skończył szesnaście lat i miał już dosyć czekania.

Aby pokazać swojej rodzinie, kim jest, Yadriel musiał przejść własną ceremonię – z ich błogosławieństwem czy bez. Jego ojciec i reszta *bruja*s nie pozostawiła mu wyboru.

Pot spłynął mu po plecach, przeszył go dreszcz. Powietrze wydawało się naładowane elektrycznością, jakby ziemia pod jego stopami pulsowała energią. Teraz albo nigdy.

Ukląkł przed Panią Śmierci i rozpakował wszystkie rzeczy potrzebne do rytuału. Postawił cztery świece modlitewne na podłodze, tworząc romb symbolizujący cztery wiatry. Na środku umieścił glinianą miseczkę, która miała przedstawiać ziemię. Yadriel zwędził miniaturową buteleczkę tequili Cabrito z jednego z kartonów, które zebrano na *ofrendas* z okazji Día de Muertos. Mocował się chwilę z zakrętką, po czym wylał zawartość buteleczki do miski. Zapach uderzył go w nos. Obok postawił słoiczek soli.

Z kieszeni džinsów wyciągnął pudełko zapalek. Płomień drżał, kiedy zapalał świece. Migoczące światło zaiskrzyło na złocistej nici kaptura Pani Śmierci, odbijając się w załamaniach i fałdach materiału.

Powietrze, ziemia, wiatr i ogień. Północ, południe, wschód i zachód. Wszystko, co potrzebne do przywołania Pani Śmierci.

Ostatnim składnikiem była krew.

Przywołanie Pani Śmierci wymagało złożenia ofiary z krwi. To był najpotężniejszy dar, ponieważ krew zawierała w sobie życie. Oddanie swojej krwi Pani Śmierci oznaczało oddanie części swojego ziemskiego ciała, ale i duszy. To coś tak potężnego, że ofiara z ludzkiej krwi nie może przekraczać kilku kropel; inaczej mogłaby pozbawić każdego *brujx* mocy życia, prowadząc do nieuchronnej śmierci.

Istniały tylko dwa rytuały, w których należało złożyć ofiarę z własnej krwi. W chwili narodzin przebijało się dziecku uszy, wyciskając w ten sposób ilość krwi nie większą niż główka igły. Ten akt pozwalał słyszeć dusze zmarłych. W uszach Yadriela znajdowały się czarne plastikowe zatyczki. Podobała mu się idea złożenia hołdu starożytnej praktyce *brujx*, polegającej na rozciąganiu płatków uszu za pomocą coraz większych dysków wykonanych ze świętych kamieni, na przykład obsydianu czy jadeitu. Przez lata

udało mu się dojść do rozmiaru mniej więcej dziesięciocentówki.

Ten drugi moment, w którym *brujx* składają swoją krew w ofierze, to właśnie ceremonia *quinces*. Krew musi pochodzić z języka, dzięki temu mogą przemówić do *diosa*, poprosić Panią Śmierci o błogosławieństwo i ochronę.

A cięcie należy wykonać własnym *portaje*.

Maritza wyciągnęła ze swojego plecaka zawiniątko i podała Yadrielowi.

– Zajął mi to kilka tygodni – powiedziała, kiedy chłopak rozplątywał sznurek. – Poparzyłam się chyba z osiem razy i prawie odciąłam sobie palec, ale wydaje mi się, że ojciec wreszcie dał sobie spokój i nie próbuje już trzymać mnie z dala od kuźni. – Niby wzruszyła niedbale ramionami, jednak stała wyprostowana, na ustach błąkał jej się dumny uśmiech. Yadriel zdawał sobie sprawę, że dla niej to coś ważnego.

Rodzina Maritzy od pokoleń wykuwała broń dla mężczyzn, jej ojciec przywiózł to rzemiosło ze sobą z Haiti. Maritza bardzo chciała się nauczyć od niego, jak wykuwać ostrza. Ponieważ broń nie miała kontaktu z krwią aż do ceremonii *quinces* chłopca, był to dla niej sposób, by pozostać częścią społeczności bez łamania swoich zasad etycznych. Jej mama nie uważała tego za dobry zawód dla dziewczyny, ale kiedy Maritza coś sobie postanowiła, nie dało się jej od tego odwieść.

– Nie jest taki jarmarczny i śmieszny jak ten Diego – powiedziała, przewracając oczami. Miała na myśli starszego brata Yadriela.

Yadriel odwinął ostatnią warstwę materiału i odsłonił mieszczący się w środku sztylet.

– Wow – wyszeptał.

– Jest praktyczny – wyjaśniła Maritza, wisząc mu nad ramieniem.

– Chciałaś powiedzieć: zajebisty – poprawił ją Yadriel, a uśmiech wciskał mu się głęboko w policzki.

Maritza wyszczerzyła zęby.

Sztylet miał długość jego przedramienia, proste ostrze i jelec, który zawijał się jak poziome S. Na wypolerowanej drewnianej rękojeści została misternie namalowana Pani Śmierci. Yadriel podniósł sztylet w dłoni, jego ciężar dodawał mu otuchy. Przeciągnął kciukiem po cienkich liniach złotej farby, które rozchodziły się promieniście od Pani Śmierci. Wyczuwał każde delikatne pociągnięcie pędzla.

To był jego sztylet. Jego *portaje*.

Yadriel miał wszystko, czego potrzebował. Teraz pozostało mu już tylko przeprowadzić rytuał.

Był gotowy. Był zdeterminowany, żeby przedstawić się Pani Śmierci, nie potrzebował do tego niczyjej aprobaty. Mimo to zawahał się. Ściskając swoje *portaje*, popatrzył na posąg i przygryzł usta. Ogarnęły go wątpliwości.

– Hej.

Yadriel aż podskoczył, kiedy kuzynka położyła mu dłoń na ramieniu. Jej brązowe oczy patrzyły z uwagą na jego twarz.

– Chodzi o to, że... – Yadriel chrząknął i rozejrzał się po wnętrzu kościoła.

Maritza z troską ściągnęła brwi.

Ceremonia *quinces* była najważniejszym dniem w życiu *brujx*. Ojciec, brat i *abuela* Yadriela powinni stać obok niego. Kiedy klęczał na twardej kamiennej posadzce, czuł napierającą zewsząd pustkę. W ciszy słyszał trzask drżącego płomienia świecy. Spojrzenie wydrążonych oczu Pani Śmierci sprawiało, że czuł się zawstydzony i samotny.

– A co jeśli... Co jeśli to nie zadziała? – zapytał. Chociaż mówił niemal szeptem, jego głos poniósł się echem po pustym kościele. Ścisnęło mu się serce. – Co jeśli mnie odrzuci?

– *Escúchame*. – Maritza ścisnęła mocno jego ramiona. – Dasz sobie radę, okej?

Yadriel pokiwał głową, oblizując wyschnięte usta.

– Ty wiesz, kim jesteś, ja wiem, kim jesteś, i nasza Pani też to wie – powiedziała z żarliwym przekonaniem. – Pieprzyć całą resztę! – Maritza wyszczerzyła do niego zęby. – Pamiętaj, dlaczego to robimy.

Yadriel zebrał się w sobie i przemówił z całą odwagą, na jaką było go stać.

– Żeby się przekonali, że jestem *brujo*.

– No, to też, ale poza tym.

– Z mściwości? – zgadywał Yadriel.

– Z mściwości! – zgodziła się entuzjastycznie Maritza. – Poczują się jak ostatni krety, kiedy im pokażesz. I chcę, żebyś się rozkoszował tą chwilą, Yads! – Wciągnęła głęboko powietrze przez nos i przycisnęła dłonie do piersi. – Naprawdę rozkoszuj się tym pysznym, p r z e p y s z n y m uczuciem, że miałeś rację!

Z gardła Yadriela wyrwał się śmiech.

– Zróbmy to, *brujo*. – Maritza wyszczerzyła zęby.

Yadriel czuł, jak na jego twarz wraca głupi wyraz zadowolenia.

– Tylko nie spieprz tego, żeby *diosa* nie trzasnęła cię jakimś piorunem czy coś, okej? – rzuciła kuzynka, wycofując się o kilka kroków. – Nie poradzę sobie sama w roli czarnej owcy w rodzinie.

Jako osoba transpłciowa i gej Yadriel otrzymał tytuł Głównej Czarnej Owcy pośród *brujx*. Chociaż, szczerze mówiąc, homoseksualizm było im o wiele łatwiej zaakceptować, lecz tylko dlatego, że widzieli w Yadrielu heteroseksualną dziewczynę.

Za to Maritza zdecydowanie zasłużyła na podobny tytuł jako jedyna weganka w ich społeczności. Była rok młodsza

od Yadriela i przeszła własne *quinces* po skończeniu piętnastego roku życia, jednak odmówiła uzdrawiania, ponieważ to wymagało wykorzystania krwi zwierząt. Jednym z najwcześniejszych wspomnień Yadriela z Maritzą był moment, w którym zanosila się przejmującym płaczem po tym, jak jej matka użyła krwi świni, by wyleczyć złamaną nogę dziecka. Maritza bardzo wcześnie postanowiła, że nie chce mieć nic wspólnego z uzdrawianiem, jeśli to oznaczało krzywdę innego żywego stworzenia.

W przytłumionym świetle kościoła Yadriel spojrzał na *portaje* na jej szyi – różaniec z różowego kwarcu, zwieńczony srebrnym krzyżykiem, w którym ukryty zbiorniczek pozostawał pusty. Maritza wyjaśniła, że chociaż odmawiała korzystania ze swoich mocy, nadal szanowała boginię i jej przodków.

Yadriel podziwiał ją za trwanie przy swoich przekonaniach, ale czuł też frustrację. On sam niczego tak nie pragnął jak akceptacji – chciał, by wręczono mu jego własne *portaje*, traktowano go jak każdego innego *brujo* i powierzono te same obowiązki. Tymczasem Maritza mogła skorzystać z każdego prawa *brujx*, lecz postanowiła je odrzucić.

– Teraz, *prisa!* – powiedziała Maritza, machając do niego niecierpliwie.

Yadriel wziął głęboki, uspokajający oddech.

Zacisnął mocniej palce na butelce termicznej, czując na spoconej skórze chłód metalu. Wypuścił powietrze przez nos.

Z nieco większym spokojem i zdecydowaniem odkręcił pojemnik i wylał krew kurcząt do miseczki. Musiał przyznać, że Maritza bardzo się starała ukryć swoje obrzydzenie.

Kiedy ciemnoczerwony płyn wymieszał się z tequilą, we wnętrzu kościoła rozhulał się wiatr. Płomienie świec zamigotały. Powietrze sprawiało wrażenie gęstego, jakby świątynia zapełniła się ludźmi, chociaż nie było nikogo prócz Yadriela i Maritzы.

Adrenalina krążyła mu w żyłach, dreszcze ekscytacji przebiegły po rękach. Kiedy przemówił, bardzo się starał, by jego głos był spokojny i głęboki.

– *Santísima Santa Muerte, te pido tu bendición* – powiedział, przywołując Panią Śmierci, żeby poprosić ją o błogosławieństwo.

Poczuł wiatr na twarzy i we włosach, jakby przeczesaly je niewidzialne palce. Płomienie zadrżały, posąg Pani Śmierci nagle wydał się żywy. Nie poruszyła się ani nie zmieniła, lecz Yadiel czuł, jak coś na niego napiera.

Zapałił zapałkę i rzucił ją do miseczki. Płyn się zapalił, buchnął ogień.

– *Prometo proteger a los vivos y guiar a los muertos* – powiedział Yadiel, przysięgając, że będzie spełniał swoje obowiązki jako *brujo*. Ścisnął mocniej *portaje* drżącymi dłońmi. – *Esta es mi sangre, derramada por ti.*

Trzymając sztylet, Yadiel otworzył usta i przycisnął koniuszek ostrza do języka na tyle mocno, by się skaleczyć. Skrzywił się i wyciągnął *portaje* przed siebie. W ciepłym blasku świec na krawędzi sztyletu zabłysnęła cienka czerwona linia.

Przytrzymał sztylet nad płonąca zawartością miseczki. Gdy tylko ogień polizał stal, krew zasyczała i świece zapłonęły niczym pochodnie. Ich płomienie były wysokie i silne. Yadiel poczuł bijący od nich żar i zmrużył oczy.

Wyjął swoje *portaje* z ognia i wypowiedział ostatnie słowa.

– *Con un beso, te prometo mi devoción* – mruknął, po czym przeciągnął językiem po ustach. Położył ostrze na wyprostowanej dłoni i pocałował obraz Pani Śmierci.

Na końcu sztyletu rozbłysły złote iskry i przeskoczyły po rękojeści na jego dłoń. Jego skóra zajaśniała, kiedy blask wystrzelił w dół palców i w górę ręki. Powędrował aż do nóg, zawinął się na palcach stóp. Yadiel zadrżał, to ekscytujące doświadczenie pozbawiło go tchu.

Gęste wibracje magii w kościele rozplynęły się tak szybko, jak się pojawiły. Wszystkie świece zgasły w tym samym momencie. Powietrze stanęło. Yadriel podciągnął rękaw bluzy i w zachwycie patrzył na swoją rękę, gdy złoty blask zniknął, nie pozostawiając na jego brązowej skórze żadnych śladów.

Podniósł wzrok na Panią Śmierci.

– Ja pierdolę – wyszeptał, przyciskając dłonie do policzków. – Ja pierdolę! – powtórzył. – Zadziałało! – Obmacał swoją klatkę piersiową, wyczuł oszalałe bicie własnego serca. Obrócił się gwałtownie, żeby popatrzeć na Maritzę, szukając potwierdzenia. – Zadziałało?

Ogień z miseczki odbijał się w jej oczach, a twarz zdołał szeroki uśmiech.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Z gardła Yadriela wydobył się śmiech, a poczucie ulgi i adrenalina wprawiały go w niemal deliryczny stan.

– Racja.

Jeśli Pani Śmierci go pobłogosławiła, udzielając mu mocy *brujx*, mógł teraz przywołać zagubioną duszę. Jeśli uda mu się to zrobić i wysłać ją w zaświaty, będzie mógł ostatecznie udowodnić przed wszystkimi – *brujx*, rodziną, ojcem – kim jest. Wreszcie ujrzą jego prawdziwą tożsamość: chłopaka i *brujo*.

Yadriel podniósł się, trzymając ostrożnie swoje *portaje* przy piersi. Zagryzł usta, czując posmak krwi. Język go szczypał, ale rana była niewielka. Bolało mniej więcej tak, jakby napił się *café de olla* od razu po zdjęciu z kuchenki.

Kiedy Maritza zbierała świece, ostentacyjnie trzymając się z dala od miseczki z płonąca krwią, Yadriel zbliżył się do posągu Pani Śmierci. Jako że nie miał nawet metra sześćdziesięciu, musiał wyciągać szyję, żeby popatrzeć na nią we wnęce.

Żałował, że nie może z nią porozmawiać. Czy widziała jego prawdziwą twarz? Tę, której jego rodzina nie potrafiła dostrzec? Yadriel latami żył bez akceptacji otoczenia, nie licząc kuzynki. Gdy trzy lata temu powiedział jej, że jest osobą transpłciową, przyjęła to bez mrugnięcia okiem. „No, wreszcie!” – rzuciła, zniecierpliwiona, lecz uśmiechnięta. „Domyśliłam się, że coś jest na rzeczy, tylko czekałam, aż wreszcie to z siebie wydusisz”.

W tamtym okresie mógł liczyć na to, że Maritza zachowa jego tajemnicę, gładko przerzucając się na inne zaimki, gdy byli sami, a inne, gdy ktoś im towarzyszył. Do czasu, aż Yadriel poczuł się gotowy.

Potrzebował jeszcze roku i dopiero jako czternastolatek zebrał się na odwagę, by dokonać coming outu przed rodziną. Zdecydowanie nie poszło tak łatwo jak z kuzynką i ciągle musiał walczyć o to, żeby oni i inni *brujx* używali właściwych zaimków i właściwego imienia.

Oprócz Maritzy najbardziej wspierała go matka Camila. Potrzebowała trochę czasu, żeby zmienić dawne przyzwyczajenia, ale przyszło jej to zaskakująco szybko. Mama Yadriela nawet zaczęła taktownie poprawiać ludzi w jego imieniu. To niełatwe zadanie ze względu na kumulujące się drobne incydenty, jednak Camila zdjęła trochę ciężaru z jego barków.

Kiedy czuł się szczególnie przygnębiony z powodu nieustannej walki o to, kim jest – albo w szkole, albo w swojej społeczności – mama sadzała go na kanapie. Przyciągała go do siebie, a on kładł głowę na jej ramieniu. Zawsze pachniała goździkami i cynamonem, zupełnie jakby dopiero co przygotowała *torta bejarana*. Delikatnie przeczesując palcami jego włosy, mruczała: „*Mijo*, mój Yadriel”, powoli przeganiając jego ból, który zmieniał się w tępe pulsowanie, lecz nigdy całkiem nie znikał.

Tylko że mama odeszła prawie rok temu.

Yadriel pociągnął nosem i potarł go pięścią, czując palenie w gardle.

To będzie pierwszy Día de Muertos od jej śmierci. O północy pierwszego listopada zadzwonią kościelne dzwony, witając z powrotem na cmentarzu dusze zmarłych *bruja*. Potem przez dwa dni Yadriel będzie mógł znowu ją widzieć.

Pokaże jej, że jest *p r a w d z i w y m brujo*. Synem, z którego może być dumna. Będzie wykonywał zadania, które wykonywał jego ojciec i ojciec jego ojca jako dzieci Pani Śmierci. Yadriel jeszcze im wszystkim pokaże.

– No chodź, *brujo* – zawołała go łagodnie Maritza, dając mu znak, by szedł przodem. – Musimy stąd wyjść, zanim ktoś nas nakryje.

Yadriel odwrócił się i wyszczerzył do niej zęby.

Brujo.

Już miał się schylić, żeby podnieść miseczkę z podłogi, kiedy nagle włosy na karku stanęły mu dęba. Yadriel zamarł i popatrzył na Maritzę, która zatrzymała się w pół kroku.

Coś było nie tak.

– Poczulaś to? – zapytał. W pustym kościele nawet szept wydawał się zbyt donośny.

Maritza pokiwała głową.

– Co to jest?

Yadriel potrząsnął lekko głową. To było prawie tak, jakby wyczuwał w pobliżu duszę, ale jakoś inaczej. Wrażenie było silniejsze niż kiedykolwiek. Niewytłumaczalna groza ścisnęła mu żołądek.

Zobaczył, jak Maritzę przechodzi dreszcz, i w tym samym momencie poczuł to samo.

Przez jedno uderzenie serca nic się nie działo.

A potem potworny ból przeszył pierś Yadriela.

Zawył, padając na kolana.

Maritza przewróciła się, z jej gardła dobył się zduszony wrzask.

Ból był nieznosny. Yadriel trzymał się za pierś, łapał powietrze gwałtownie i płytko. Oczy zasły mu łzami, posąg Pani Śmierci widział jak przez mgłę.

I kiedy już myślał, że nie znieśie tego dłużej, że ta agonía z pewnością go zabije, skończyło się.

Napięcie opuściło jego mięśnie, ręce i nogi mu zwiotczały, ciężkie ze zmęczenia. Skóra kleiła się od potu. Całe jego ciało drżało, z trudem łapał powietrze. Jego dłoń wciąż spoczywała na piersi, tuż nad sercem, gdzie pulsujący ból powoli słabł. Maritza klęczała na podłodze, z ręką przyciśniętą w tym samym miejscu. Była blada i błyszcząca od potu.

Gapili się na siebie nawzajem, próbując zapanować nad oddechem. Nic nie mówili. Wiedzieli, co to oznacza. Czuli to w kościach.

Miguel odszedł. Jeden z ich ludzi zginął.